WTOREK
Nr 116 87-09-29 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Znów i jeszcze

Znów biegniemy przez Łazienki.
Zapach astrów, wiatru tchnienie...
Tak jak my są zakochane
Chyba tylko nasze cienie.

W morze liści po kolana
Znów wpadamy — nieprzytomni.
Cudna Złota Polska Jesień...
Kto z nas pierwszy ją zapomni?

Znów szukamy pod kasztanem
Zieloniutkich, śmiesznych jeży.
W to, że nie śnię, że mnie kochasz —
Znów po prostu umiem wierzyć.

Znów wiersz nowy. Znów się śmieję,
Pieszczę w myślach moją miłość.
Gdy odejdzie... Och, łez szkoda,
Przecież nigdy jej nie było!

Wkrótce słońce stąd odejdzie,
Przyjdą chmury, wiatry, deszcze...
Za rok znów tu przyjdzie Jesień.
Może z Tobą? Czekam jeszcze.

Kaśka
z Warszawy

Fot. M. Włodarski

APN specjalnie dla „Świata Młodych"

Pony — to też konie

Pony — to bardzo żywe, lubiące pieszczoty koniki, które szczególnie miło zachowują się w stosunku do wszystkich dzieci.

Największe w Związku Radzieckim stado pony znajduje się w leżącej w obwodzie Riazańskim doświadczalnej stadninie Wszechzwiązkowego Instytutu Naukowo-Badawczego Hodowli Koni. Trzydzieści lat temu do stadniny przywieziono cztery malutkie koniki.

Obecnie ich tabun liczy ponad sto sztuk. Stąd pony są rozwożone do szkółek jeździeckich, cyrków, parków kultury, ogrodów zoologicznych.

Przy stadninie w Riazaniu działa dziecięca sekcja jeździecka, w której dziewczęta i chłopcy dzięki tym konikom bezpiecznie poznają podstawy sportu jeździeckiego.

Dziewczyny! Jutro NIE WASZ DZIEŃ...

ORKIESTRY DĘTE

Prawie siedmiuset młodych muzyków z dziewięciu krajów przyjechało do Jastrzębia Zdroju, by wziąć udział w drugim już Międzynarodowym Konkursie Orkiestr Dętych. Muzykująca młodzież z Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, NRD, RFN, Szwecji i Polski podczas koncertów walczyła o zdobycie głównego trofeum tej imprezy — o „Złotą Lampkę Górniczą".

Równolegle z przesłuchaniami konkursowymi odbywały się koncerty dla załóg kopalń Rybnicko-Jastrzębskiego Gwarectwa Węglowego oraz dla mieszkańców Jastrzębia. Ostatnim akordem konkursu był pokaz musztry paradnej oraz przemarsz orkiestr dętych ulicami miasta. **(stw)**

Fot. **Z. Bisanz**

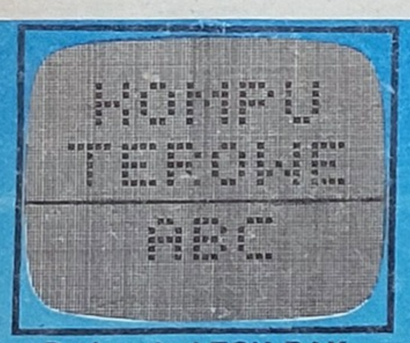

Redaguje LECH BĄK

KROK CZTERDZIESTY DRUGI

RÓŻNE ROZMIARY FIGUR

Napisać program rysujący kwadrat o boku równym 40 kroków (oczywiście żółwich kroków) jest bardzo łatwo — zresztą ułożyliśmy już taki program. Dla przypomnienia przedstawię go jeszcze raz.

OTO KWADRAT
POWTÓRZ 4 [NP 40 LW 90]
JUŻ

Od momentu wpisania tej procedury możemy już posługiwać się tylko samą nazwą procedury, rysując dowolnie wiele kwadratów. Pięknie, tylko że wszystkie kwadraty mają ten sam wymiar, tą samą długość boku. Jeśli byś chciał narysować mniejszy kwadrat musiałbyś napisać nowy program; na przykład taki:

OTO MAŁY
POWTÓRZ 4 [NP 10 LW 90]
JUŻ

Porównaj oba programy. Różnią się tylko w jednym miejscu (oprócz nazw): ilością kroków o jakie żółw powinien się przesunąć do przodu w każdym z powtórzeń. Czy rzeczywiście trzeba pisać aż dwa programy? Jak już zapewne się domyślasz istnieje sposób na rozwiązanie takiego problemu. Należy zamiast liczby kroków wpisać w to miejsce nazwę zmiennej. Pamiętasz jak wywołujemy procedurę? Wpisujemy jej nazwę i wciskamy klawisz ENTER. A jeśli w definicji procedury użyliśmy zamiast liczby zmienną, wówczas należy — wywołując procedurę — podać war-

Cd. na str. 2

POZNAJEMY KOMPUTERY

LASER 50

Z nazwy jest to komputer szkolny (pełna nazwa to **LASER 50 EDUCATIONAL COMPUTER,** ale tak naprawdę jest to coś pośredniego pomiędzy komputerem, a programowanym kalkulatorem. Ekran zbudowany jest z ciekłych kryształów, mieści się na nim 16 znaków. Zasilanie z baterii wystarcza na około 200 godzin ciągłej pracy. Język programowania BASIC. Pamięć ROM 8K × 12 bitów, RAM 2192B. Wymiary jednostki centralnej: 39 × 27 × 162 mm, waga 800 g.

REPORTER Świata Młodych

WAKACYJNE ŚCIEŻKI

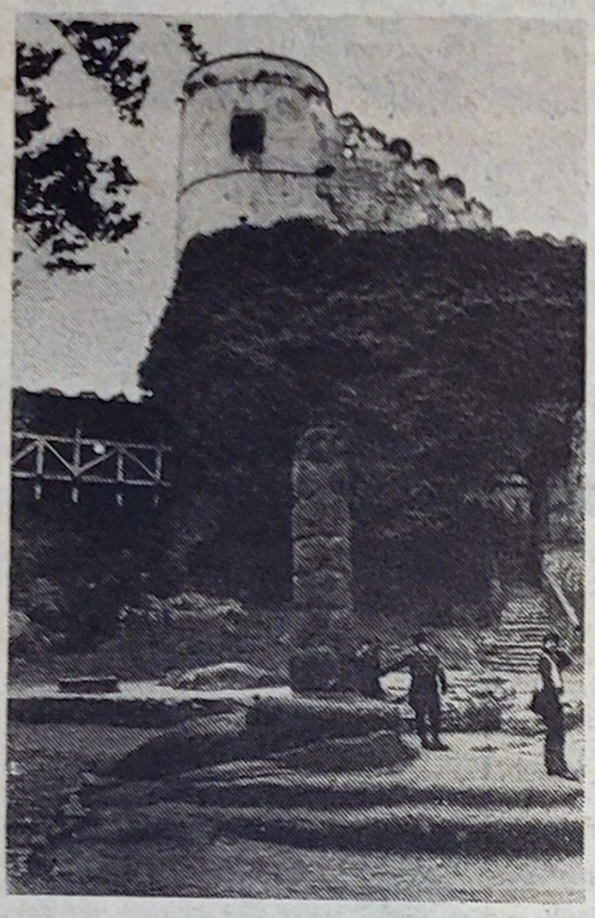

Poznaj swój kraj

Wreszcie nadeszła ta radosna chwila i wyjechałem z mamą i siostrą na południowy zachód kraju. Trochę zmieniły się plany wyjazdu, ponieważ podróżowaliśmy w nocy, a nie jak wcześniej zamierzaliśmy. Tak więc, wyjechaliśmy po 20.00 autobusem pośpiesznym, by na dworcu PKP w Poznaniu być ok. 22.00. Pociąg do Jeleniej Góry miał wyjechać o godz. 0.30 mieliśmy więc niby sporo czasu, ale szybko ten czas minął. Na dworcu trochę odsapnęliśmy i posililiśmy się. Pociąg nasz podstawili na peron wcześniej przed odjazdem, zajęliśmy więc wygodne miejsca w przedziale wagonu I kl. Marzyłem choćby tylko o krótkiej drzemce. Nie wiem, jak to się stało, że dopiero co wsiedliśmy do pociągu, a już była Jelenia Góra i godz. 6.45! Potem jeszcze ok. 30 minut podmiejskim autobusem i już byliśmy na miejscu, tzn. w Sobieszowie, jednej z dzielnic Jeleniej Góry. Od pierwszej chwili ogromnie spodobała mi się ta okolica. Do Sobieszowa jechaliśmy przez Cieplice Zdrój, znane uzdrowisko. Jak się okazało, mama dobrze zna ten region. Jest cudownie! Bardzo dużo dowiedziałem się i oczywiście sporo już zobaczyłem. Wczoraj zdobyliśmy Chojnik. Wydawało mi się, że to niemożliwe, żebyśmy dotarli na wieżę ruin zamku na tym ogromnym szczycie. Z dołu było widać mały punkcik na dużym wzniesieniu, wychylający się z lasu i sięgający chmur. Szlak turystyczny nie był zbyt trudny, za to schody na wieżę stare, skrzypiące i strasznie kręte oraz ciemne. Mieliśmy latarki, więc nie było kłopotów. Z góry widok cudowny! W dolinie maleńkie domki, jakby z klocków. Mama miała rację, to trzeba było zobaczyć, bo nie ma słów, aby ten piękny krajobraz opisać. Zebrałem dużo wiadomości. To bardzo ciekawe, jak przed wiekami ludzie potrafili postawić na takim wzniesieniu zamek, który po rozbudowaniu zamieniono na niezdobytą warownię. Zbudowany został ten zamek w ciągu 11 lat w latach 1353–64. W 1675 r. spłonął od uderzenia pioruna. Na stałe już został ruiną, konserwowaną w latach 1965–69.

Przez Sobieszów przepływa rzeka Wrzosówka. W roku 1975 Jelenia Góra została miastem wojewódzkim, a więc mam rówieśnika — piękne miasto. Jest tu ogromnie dużo zabytków. Nie wiem, czy wystarczy czasu na zwiedzenie wszystkich ciekawych miejsc, a jeśli nie, to na pewno tu wrócę jeszcze nie raz. Planujemy jeszcze wpaść do Karpacza. Szkoda, że czas nie zatrzyma się choćby na parę dni.

Ruch tu jest dość duży. Dużo wycieczek — koloniści, harcerze. Samochody z rejestracją wielu miast wojewódzkich mkną ulicami. Tak więc, dzięki mamy miłym znajomym, którzy nam zapewnili noclegi, poznałem cudowny zakątek Polski i nie zazdroszczę rówieśnikom wyjeżdżającym za granicę w czasie wakacji. Gdybym miał do wyboru inny kraj lub zwiedzanie Ojczyzny, wybrałbym bez wahania to drugie, ponieważ jestem zdania, że należy najpierw poznać swój kraj, a potem wyruszać na podbój świata... oczywiście, jeśli kogoś stać na takie dalekie wojaże.

Na dowód, że zdobyłem Chojnik (627 m n.p.m.) załączam zdjęcie z pieczęcią, własnoręcznie odbitą w schronisku, bardzo zresztą ładnie urządzonym. Nigdy jeszcze nie miałem tak wspaniałych wrażeń z wakacji!

Maciek Surdyk, Połajewo

Na Łysej Górze nie ma czarownic!

Byłam dwa tygodnie w górach. Dawniej, gdy wczasy były tańsze, wyjeżdżaliśmy z bratem i rodzicami do Krakowa, Ojcowa, Wieliczki, pod Czechosłowacką granicę czy na wczasy wędrowne. Teraz na taki luksus nie możemy już sobie pozwolić, ale tak szczęśliwie się składa, że mam dwie ciocie mieszkające w Górach Świętokrzyskich, choć niższych od Tatr mających jednak swój urok. Jedna ciocia mieszka w małej osadzie Rutki koło Nowej Słupi w woj. kieleckim, a druga w Szydłowcu w woj. radomskim. Najpierw pojechaliśmy do Rutek i już następnego dnia wybraliśmy się do Nowej Słupii i na Święty Krzyż. Przewodnikiem była moja siostra. Na skraju placu pod górą stoi stara rzeźba przedstawiająca człowieka. Podobno rzeźba posuwa się co roku o kilka centymetrów, a legenda mówi, że gdy dojdzie do skraju lasu, nastąpi koniec świata. Po wejściu na szczyt skierowaliśmy swoje kroki do kościoła i klasztoru pobenedyktyńskiego. W jego podziemiach spoczywają szczątki rodziny Wiśniowieckich. Zwiedziliśmy też muzeum przyrodnicze i wystawę minerałów.

Następnego dnia wybraliśmy się na Łysą Górę, ale niestety nie spotkaliśmy żadnej czarownicy. No cóż, zapewne uciekły w obawie przed cywilizacją. W lesie koło Rutek znalazłam za to kawałek rudy żelaza, a niedaleko starej nieczynnej już kopalni rudy żelaza „Staszic" kawałek hematytu! Chyba zacznę zbierać kamienie półszlachetne i ozdobne, jak moja siostra.

W Szydłowcu zwiedziłam Muzeum Instrumentow Muzycznych.

„Biedronka", Sejny

Okno na świat

Wakacje są dwoma bardzo pięknymi miesiącami w roku — bez podręczników, szkoły, nakazów i ciasnych murów. Nie dodam jednak, że „bez nauki", bo myślę, iż czasem więcej się można nauczyć podczas wakacji niż na nudnej lekcji przedmiotu, który nas nie interesuje. W lecie poznaje się przecież tyle nowych miejsc, a przede wszystkim nowych ludzi.

Moje wakacje rozpoczęłam trzytygodniowym pobytem w Gdańsku, na kolonii. Muszę powiedzieć, że Gdańsk jako miasto rozczarował mnie. Tyle się nasłuchałam o jego urodzie... Spotkałam tymczasem zwykłe osiedla mieszkaniowe — takie same jak w całej Polsce. Dopiero Starówka... Gdańska Starówka jest miejscem, do którego się wraca i które wiecznie ma się przed oczami. Posiada niezaprzeczalny urok, jakąś taką „cygańskość", fantazję. Niezliczone kramiki, na których plastycy sprzedają swoje dzieła: przepiękne wisiory, broszki, biżuterię, obrazy większe i mniejsze, czasem niesamowicie udziwnione, ale jakże pasujące do całej Starówki.

Po południu ściągają na Długą grajkowie, uliczne kapele, a nawet orkiestry. Dookoła piękne kamieniczki z rzeźbionymi drzwiami, figurkami we wnękach i na gzymsach, zdobieniami, okazały Dwór Artusa i oczywiście nieśmiertelny Neptun. Wszystko przesiąknięte jakąś tajemniczością, a także — polskością. Co godzina przypominają o tym kuranty wydzwaniające melodię „Roty". I towarzyszące uczucie, że gdzieś, niedaleko, tuż za murami jest morze! A jest ono dla mnie uosobieniem romantyzmu i piękna. Nigdy się nie nudziłam wpatrując w daleki horyzont lub omywany falami brzeg. Było mi bardzo przykro i smutno, ogarniała mnie złość, gdy widziałam jak bardzo nasze „okno na świat" jest brudne...

Iwona (15 lat), Białystok

Przyjrzałam się żniwom...

U babci byłam podczas żniw i właśnie do tej sprawy chcę nawiązać.

Nieduże pole obsiane jest u babci jedynie jęczmieniem, poza tym są warzywa, więc łatwo się domyślić, że żniwa w takim gospodarstwie mają „lekki przebieg"! Jednak są na wsi i takie gospodarstwa, w których żniwa są naprawdę ciężkim, mozolnym trudem, gdyż główną pracę wykonuje człowiek i koń, bo mechanizacja rolna jest jeszcze na bardzo niskim poziomie. Jakże więc trudne wakacje mają dzieci z takich gospodarstw! Zamiast wyjechać na kolonie czy obóz ciężko pracują po to, żebyśmy my, ludzie z miast, mieli kawałek chleba. A jak się im za to odpłacamy? Przykro przyznać, ale najczęściej szarą niewdzięcznością. A co gorsza, czasem im dokuczamy i przezywamy... Kończę tą smutną uwagę i wierzę, że po jej przeczytaniu wielu młodych ludzi z miasta zmieni postępowanie wobec kolegów ze wsi.

Sylwia, (członek LR) Kraśnik

REDAKCYJNA POCZTA

Joasiu, wróć...

Postanowiłem napisać do „RP", chociaż z reguły załatwiam takie sprawy samodzielnie i z łatwością. Nie chcę być zarozumiały, ale wiem, że jestem przystojny, a od dziewczyn nie mogę się wprost opędzić. Wydawałoby się, że w związku z tym nie mam problemów, a jednak...

„Tuptaliśmy" ze sobą blisko dwa lata, wydawało mi się, że nasza miłość jest taka dojrzała, prawdziwa, szczera, ufna... Nigdy jej nie zdradziłem, ona mnie tak. Wybaczyłem.

Nie wiem, może zrobiłem błąd, odkładając słuchawkę, kiedy do mnie zadzwoniła. Byłem wtedy na nią okropnie wściekły — to moje usprawiedliwienie. Ale ja kocham, kocham ją nadal, nadal mocno!

Uwielbiam jej głos.

Jest piękna, moja czarnooka księżniczka. Joasiu B., jeżeli przeczytałaś mój list — wróć do mnie — błagam Cię!

Papcio N.

Ocean wulgarności

Już w trzeciej klasie zauważyłam, że w naszej klasie zaczęły powstawać grupki „ananasów" (to chłopcy!). Obecnie moi koledzy nie używają innych słów jak tylko przekleństwa. Dla nich dobrzy są ci, którzy przeklinają, spluwają na ulicy. Niektóre dziewczęta są tego samego zdania. Inne w ogóle nie zwracają uwagi na zachowanie chłopaków. Ja z moją koleżanką, Magdą staramy się takim zachowaniom przeciwstawiać, ale chłopcy nas wyśmiewają.

W czwartej klasie doszedł do nas chłopiec, który ogromnie wzbogacił repertuar przekleństw naszych kolegów.

W naszej klasie jest tylko jeden grzeczny, zdolny chłopiec. Martwimy się z Magdą, żeby i on nie wlazł w ten ocean wulgarności, tym bardziej że i on od czasu do czasu odzywa się ordynarnie. To straszne! Mamy nadzieję, że uda się go uratować a pozostali może po prostu wyrosną, a może po przeczytaniu tego listu zrozumieją swoje błędy? Nasza mowa ojczysta jest taka bogata, tyle w niej trafnych a ładnych określeń.

Magdalena z Kalisza, kl. V

Ewa ma rację!

W moim liście chciałbym nawiązać do Redakcyjnej Poczty, a dokładnie do wtorkowego numeru „Świata Młodych" z 18 sierpnia. Zamieszczony tam został list Ewy. List ten jest pełen mądrych spostrzeżeń takich jak:

Dla niektórych dziewczyn uczucia nie są w ogóle ważne. Liczy się tylko czy chłopak jest przystojny i dobrze ubrany bo... muszą go zobaczyć koleżanki i trochę pozazdrościć. Zupełnie nieważne co ma chłopak w głowie i jaki ma charakter.

Nie waham się użyć zwrotu: „święte słowa". Tak rzeczywiście jest. Takie są dziewczyny!

Andrzej

C.d. ze str. 1

tość zmiennej. W nagłówku definicji trzeba podać nazwę, pod którą będzie wpisywana liczba. Powracając do naszego napisania procedury rysującej kwadrat o żądanym wymiarze. Oto jak powinna wyglądać:

OTO KWADRAT :BOK
POWTÓRZ 4 [NP :BOK LW 90]
JUŻ

W trakcie pisania procedur z parametrem należy pamiętać o dwóch rzeczach: o spacji oddzielającej słowo **„KWADRAT"** od **„:BOK"** i o dwukropku przed nazwą zmiennej.

Dwukropek oznacza, że odwołujemy się do aktualnej wartości zmiennej.

Teraz zadanie dla Ciebie. Ułóż algorytm rysujący taki oto domek.

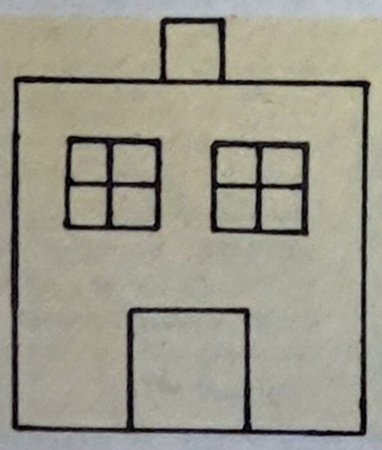

Wykorzystaj do tego procedury rysujące kwadrat o dowolnym rozmiarze. Zastanów się jak powinny wyglądać procedury rysujące inne wielokąty o dowolnej długości boku.

I następny problem. Ten oto kształt można narysować na kilka różnych sposobów. Ułóż najkrótszy program, który wykona taki rysunek.

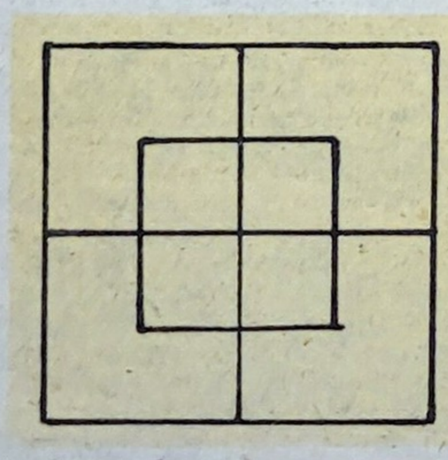

A teraz o nowych instrukcjach. Jeśli chcesz narysować bardziej skomplikowaną figurę wtedy czas w jakim żółw „przejdzie" po zadanym kształcie jest zbyt długi jak na cierpliwość przeciętnego młodego programisty. Drugi problem to rysowanie bardzo małych figur. Po jej narysowaniu — jeśli żółw zostanie w tym miejscu, w którym przed chwilą rysował to ją częściowo zasłoni. W pierwszym przypadku można uzbroić się w cierpliwość, zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu (dla uspokojenia). W drugim podnieść żółwiowi pisak i postawić go gdzieś w kącie. Ale są to rozwiązania nie wystarczające. Lepiej żeby komputer dostosował się do naszych potrzeb.

Istnieje zlecenie chowające żółwia tzn. żółw staje się niewidzialny. Nadal może rysować, ale na ekranie nie ma już trójkąta przedstawiającego go. To zlecenie to: **SŻ**, jest to skrót od „schowaj żółwia". Niestety ten rozkaz, podobnie jak wcześniej poznana **OPU**, nie ma odpowiadającej mu pełnej nazwy. Podobnie jest z instrukcją odwrotną: **PŻ** — pokaż żółwia, używany jest tylko ten skrót.

Jeśli żółw jest schowany, wówczas rysunek jest wykonywany o wiele szybciej.

Jako przykład, program, w którym rozwiązanie tych dwóch problemów (szybkość rysowania i zasłanianie małych figur) było istotnym udogodnieniem. Jeśli uruchomisz program **MIKOŁAJ**, na ekranie zobaczysz Mikołaja. Możesz oczywiście uruchomić każdą procedurę osobno i sprawdzić co one robią. Jeśli byś to robił to pamiętaj, żeby przed wywołaniem procedury **OCZY** schować żółwia; oczy Mikołaja są tak małe, że mógłby je zasłonić. Autorkami programu są J. Turkowska i G. Siemienowicz.

```
OTO MIKOŁAJ
 SŻ
 BRODA
 NOS
 PŁASZCZ
 POD WROC
 OCZY
JUŻ

OTO CZAPA
 LW 90 NP 60 PW 120 NP 60 PW 60
 POWTÓRZ 36[ NP 2 LW 10]
JUŻ

OTO BRODA
 PW 60 NP 60 PW 120
 NP 7 LW 90
 POWTÓRZ 20[NP 4 PW 10]
 LW 90 NP 3 LW 90
 POWTÓRZ 22[ NP 5 LW 10]
JUŻ

OTO NOS
 POD LW 110 NP 30
 OPU LW 45
 POWTÓRZ 36[ NP 1 PW 10]
JUŻ

OTO PŁASZCZ
 POD LW 35 NP 20
 OPU NP 57 PW 120 NP 90
 PW 120 NP 56
JUŻ

OTO OCZY
 POD LW 90 NP 40 LW 90 NP 5
 OPU
 GWIAZDA 2
 POD LW 90 NP 25 OPU
 GWIAZDA 2
JUŻ

OTO GWIAZDA :Z
 POWTÓRZ 6[NP :Z WS :Z LW 60]
JUŻ
```

OBOŹNY W KAPCIACH, czyli RELACJA Z PEWNEGO ZLOTU

Zadanie jest niełatwe: trzeba napisać o czymś, co w założeniu miało być interesującą imprezą i nagrodą dla jej uczestników, a nie było ani jednym, ani drugim, przynajmniej w tym sporym fragmencie, w jakim uczestniczyli przedstawiciele „Świata Młodych".

Zanim jednak napiszemy o samym zlocie, oddajmy

CESARZOWI, CO CESARSKIE

Do Zaklikowa zjechały najlepsze zastępy NAL z terenu całego województwa lubelskiego. Dziewczęta ze Strzeszkowic postanowiły nawet dotrzeć na zlot nie całkiem legalnie, bowiem w ostatniej chwili zachorowała ich pełnoletnia opiekunka. Przyjechały na własną rękę, nie wiedząc, czy przypadkiem nie zostaną odesłane do domu. Oczywiście tak się nie stało — zaopiekowano się nimi bardzo troskliwie.

Wszyscy uczestnicy zlotu mieli się czym pochwalić. Dwa wakacyjne miesiące minęły na wycieczkach, zabawie i pracy. Zwłaszcza tej ostatniej było dużo; nic w tym zresztą dziwnego, skoro większość stanic zorganizowana została we wsiach i w małych miasteczkach. NAL-owcy pracowali przy zbiorze owoców, żniwach, organizowali zielone przedszkola, pomagali starszym.

Było więc o czym opowiadać przy zlotowym ognisku w Zaklikowie. O pracy poszczególnych stanic świadczyły także przywiezione kroniki i wystawki ukazujące dorobek zastępów.

Nikt nie musiał się wstydzić. Dęblin nie czuł się gorszy od Kraśnika, harcerze z Puchaczowa, przedstawiając własne, niemałe osiągnięcia, mogli zobaczyć, czym zajmowali się ich koledzy i koleżanki z innych rejonów województwa. Już z pobieżnych obserwacji łatwo było się zorientować, że zastępy wykonały kawał dobrej roboty i wskazanie tego, który spisał się najlepiej, będzie bardzo trudne. Komisję oceniającą, której zadaniem było wyłonienie reprezentantów chorągwi na ogólnopolski zlot w Załęczu czekał więc trudny orzech do zgryzienia.

Miły, idylliczny obrazek: wszyscy w zgodzie, zadowoleni z dobrze wykonanej pracy własnej, podziwiający równie dobrą pracę innych, usatysfakcjonowani nagrodą, jaką jest dla nich pobyt na zlocie. Czy tak właśnie było w rzeczywistości?

PIERWSZE WĄTPLIWOŚCI

Wszelkie sentymenty idą w kąt, gdy w grę wchodzi rywalizacja; zjawisko to jest powszechnie znane. W Zaklikowie mieliśmy z nim także do czynienia. Złośliwe komentarze na temat dorobku rywali można jeszcze zapisać na karb tak popularnej „bezinteresownej zawiści", jednak nie był to niestety jedyny przejaw niezdrowych emocji wywołanych rywalizacją. Tu chyba właśnie organizatorzy popełnili błąd: można było bowiem odnieść wrażenie, że przy tak wyrównanym poziomie najlepszym zastępem będzie ten, którego członkowie po mistrzowsku potoczą fajerkę lub pokonają rowerowy tor przeszkód. Nie wszystkim się to podobało, zwłaszcza, że sposób przeprowadzenia konkursów nie był najwłaściwszy. A poza tym — czyż można porównywać wyniki takich zawodów z efektami dwumiesięcznej pracy?

Było to do uniknięcia, gdyby zrezygnowano z rywalizacji. Ot, najlepsze zastępy przyjechałyby na zlot, pokazały swój dorobek, wybrano by jeden, reprezentujący chorągiew na zlocie centralnym i na tym koniec. Resztę czasu można by wtedy poświęcić na „kontemplowanie nagrody", czyli zabawę.

Tak się jednak nie stało, więc trudno się dziwić atmosferze towarzyszącej rywalizacji. Choć dziwić się można i trzeba temu, że do podobnej sytuacji doszło na imprezie harcerskiej, ba, że w ogóle gdziekolwiek dochodzi do podobnych spięć, wywołanych przez czyjąś

zawiść, podejrzliwość, chęć zwyciężenia za wszelką cenę!

Nadarzyła się jednak okazja do poprawienia nastrojów: dyskoteka! To hasło zelektryzowało wszystkich. Przygotowania szły pełną parą już od wczesnego popołudnia.

Wieczorem na zamkowym dziedzińcu podrygiwali w takt muzyki zarówno najmłodsi, którzy nie wyrośli jeszcze z zuchowych pląsów, jak i najstarsi, dla których taniec dyskotekowy jest dość skomplikowany. Było miło, to fakt, ale czy jedynym sposobem na zorganizowanie dyskoteki musiało być włączenie taśmy z muzyką i puszczanie poszczególnych utworów „jak leci"? Kto zainteresował się grupką tych, którzy tańczyć się wstydzili lub nie umieli? Kogo obchodzili namiętni dwunasto-trzynastoletni palacze, co kilka minut chyłkiem wychodzący na papieroska? Zostawienie uczestników zabawy sobie samym nie było najlepszym pomysłem. Szkoda wieczora, który można było spędzić zupełnie inaczej, gdyby był przygotowany. A nie był, niestety.

SMUTNE POŻEGNANIE WESOŁEGO LATA

„Sport na wesoło" — to hasło kolejnego dnia zlotu. W założeniu miało to być kilka przyjemnie spędzonych na stadionie godzin, wypełnionych udziałem w najrozmaitszych konkurencjach. W rzeczywistości wyszło coś zupełnie innego, choć także trwającego dość długo. Poszczególne konkurencje znów sprawiały wrażenie, jakby przygotowywano je w pośpiechu lub nie przygotowano wcale, licząc, że „jakoś to będzie". W efekcie zastępy snuły się w skwarze od punktu do punktu i nie bardzo były zainteresowane tym, co robią, podobnie zresztą jak większość prowadzących konkurencje instruktorów. Druh od gry w bocce najwięcej czasu poświęcał na komenderowanie: „nie umiecie grać — przeczytajcie instrukcję". Instrukcja zawarta była na kilku stronach drobno zapisanego maszynopisu, chętnych do jej przeczytania brakowało i trudno się dziwić. Przecież przyszli tu, by się bawić.

Druhna kierująca rowerowym torem przeszkód sama stanowiła przeszkodę nie do przebycia: *„obróć się na rowerze dookoła siebie", „w ten sposób?", „a bo ja wiem, chyba tak, masz zaliczone"* — oto fragment instrukcji udzielanej zawodnikom próbującym dosiąść wiekowego składaka.

Punktów było pięć. Trzeba było zaliczyć wszystkie — takie wydano polecenie. Jak zawody to zawody, jak zabawa, to zabawa! Z boiska wiało nudą, co podkreślali w rozmowach sami uczestnicy imprezy, szukający możliwości zajęcia się czymkolwiek ciekawym.

Tuż po obiedzie przeprowadzono ostatnią konkurencję: wyścigi z toczoną na kiju fajerką. Jedna osoba toczyła, trzy się przyglądały, kilka snuło się obok, a reszta zajęta była jedzeniem obiadu.

Oto (smutna) prawda o zlocie najlepszych zastępów NAL w chorągwi lubelskiej. Ich obecność w Zaklikowie stanowić miała nagrodę za dobrze przepracowane wakacje. Pisanie, że była karą, to przesada, jednak nieobecni nie mają czego żałować. Dziś już nie da się zainteresować nikogo prościutkimi zabawami organizowanymi za pomocą dwóch piłek, kija i jednego roweru na kilkadziesiąt osób.

Ubiegłoroczny zlot lubelskiego NAL był podobno bardzo dobrze zorganizowany. Pozostaje wierzyć, że wpadka przy tegorocznym była przypadkowa i za rok znów wszystko będzie w porządku. Życzymy tego przede wszystkim zastępom, bo to przecież ich impreza, a także organizatorom. Może jednak już dziś powinni o tym pomyśleć?

JAROSŁAW MACHOWIAK
Fot. **Marek Szymański**

PS. Na koniec jeszcze jedna przykra sprawa. O ile widok młodego harcerza — „biszkopta" ubierającego się do munduru w czerwone spodnie od dresu skłania do delikatnego zwrócenia mu uwagi na niestosowność stroju, to sytuacja, w której obożny zlotu paraduje w mundurze, rogatywce i miękkich bamboszach budzi zgrozę. Druhu harcmistrzu! Daję druh przykład innym.

ALFABET MAMEDOWA

(Moskwa. Od stałego korespondenta)

Na świecie jest około trzech tysięcy języków i trzysta różnych systemów zapisu ludzkiej mowy — alfabetów. Litery łacińskie, cyrylica, pismo arabskie, japońskie czy chińskie, hieroglify, piktogramy, pismo klinowe, łatwe i trudne, proste i skomplikowane. Jeden wniosek nasuwa się od razu: same dźwięki mowy narodów świata zapisywane są w najrozmaitszy sposób. Dlaczego? — spytał kiedyś Ali Mamedow, obecnie pracownik naukowy Instytutu Filozofii i Prawa Akademii Nauk Azerbejdżańskiej SRR. — Czy nie można stworzyć jednego, użytecznego dla wszystkich języków świata alfabetu?

Sto lat temu podobne pytanie zadał inny człowiek. Ludwik Zamenhof postanowił stworzyć prosty język międzynarodowy, który ułatwiłby porozumienie różnych ras i kultur. Kariera esperanto dowodzi, że istnieje zapotrzebowanie na uniwersalny kod ułatwiający kontakty między narodami. Ali Mamedow doszedł do wniosku, że tradycji językowej nie da się zmienić, można za to i należy wprowadzić jeden uniwersalny system znaków graficznych ludzkiej mowy, podobnie jak jednakowo zapisujemy dźwięki muzyki albo cyfry. Tej idei poświęcił wiele lat pracy. Studiował różne języki, poznał wszystkie alfabety świata, wiele podróżował, a jeszcze więcej nieprzespanych nocy przeznaczył na szkicowanie swoich pomysłów. Tak powstał alfabet Mamedowa, o którym ostatnio sporo pisała radziecka prasa.

Na czym on polega? Na... prostocie. Podstawą zapisu jest fonetyka. Jak wiadomo językoznawcy klasyfikują dźwięki mowy wedle sposobu artykulacji: wargowe, nosowe, dźwięczne, bezdźwięczne itp. W sumie jest tych kategorii dziesięć i odpowiada im tyle samo podstawowych liter tego alfabetu.

— Każda z moich liter — mówi wynalazca z Baku — może występować w różnych wariantach, w zależności od tego jakie specyficzne dźwięki istnieją w danym języku. Oprócz tego zastosowałem system symboli określających czy dana samogłoska jest krótka czy długa, czy spółgłoska jest miękka czy twarda. Znaki te są w stanie oddać dowolny odcień ludzkiej mowy.

Niezwykły pomysł wzbudził już zainteresowanie specjalistów. Na adres Mamedowa w Baku nadchodzą listy z wielu krajów, w tym także... pisane jego alfabetem. Wszyscy zgadzają się, że wprowadzenie tego systemu uprościłoby wiele skomplikowanych procedur, nie mówiąc już o ułatwieniach w nauce języków obcych. Alfabet Mamedowa, którego próbki widziałem, przypomina na pierwszy rzut oka znaki używane przez starożytne kultury azjatyckie i nie ma nic wspólnego z łaciną! Jest to system prostych, wręcz geometrycznych symboli. System typu „compact". Nic więc dziwnego, że jako pierwsi zainteresowali się nim cybernetycy, dostrzegając tu szanse na pokonanie barier, które stoją na drodze porozumienia człowieka i komputera. Fachowcy z Baku opracowali nawet na bazie pomysłu ich rodaka język komputerowy, zwany „komal". Podstawowa jego zaleta, poza czystością grafiki, polega na tym, że wszystkie słowa wymawia się tak, jak się je pisze... Jest to zresztą zaleta przydatna nie tylko w rozmowie z maszyną...

Na pytanie, jak to wszystko zaczęło się, Ali Mamedow odpowiedział: — Pewnego dnia w szkole zapytałem nauczycielkę dlaczego dla oznaczenia „dz" w alfabecie azerbejdżańskim używa się zupełnie innego znaku niż np. w sąsiednim Dagestanie. Odpowiedziała, żebym nie przeszkadzał, ale mnie to pytanie naprawdę przez całe lata nie dawało spokoju. Obliczyłem np., że narody ZSRR stosujące cyrylicę używają prawie dwieście dodatkowych znaków dla wyrażenia dźwięków swojej mowy. Postanowiłem, że jak dorosnę znajdę z pewnością sposób na zapisanie całego tego bogactwa dźwięków. No i dotrzymałem danego sobie samemu słowa.

WALDEMAR SOBIECKI

Nosorożce za drutami

Staraniem kenijskich organizacji ochrony środowiska — powstaje rezerwat dla nosorożców. Populacja tych zwierząt od 1970 uległa znacznemu spadkowi i grozi im wymarcie. Według opinii specjalistów, rezerwat położony na obszarze parku narodowego nad jeziorem Nakuru w odległości 160 km od Nairobi pozwoli na ochronę przed kłusownikami, jak również na prowadzenie hodowli nosorożców pod kontrolą specjalistów. Obszar rezerwatu ogrodzony zostanie drutami pod napięciem, których dotknięcie powoduje silny wstrząs oraz uruchomienie alarmowej syreny ostrzegającej straże.

Cofa się wieczna zmarzlina

Naukowcy radzieccy udowodnili, że zakres występowania wiecznej zmarzliny stale się zmniejsza. Szybkość jej topnienia określono na 1–2 m w ciągu 100 lat. Badania wykazały, że topnienie zmarzliny odbywa się nie tyle pod wpływem ocieplania klimatycznego, ile na skutek działania głębinowych strumieni energii z wnętrza Ziemi. Średnio w ciągu ostatnich 20 tys. lat ogólny wzrost temperatury zamarzniętych skał wyniósł 10–13 stopni. Proces ten rozwija się coraz szybciej, wyzwalając z „lodowej niewoli" znaczne przestrzenie.

4 NAJWYŻSZE SZCZYTY ZIEMI

K-2
(8611 m n.p.m.)

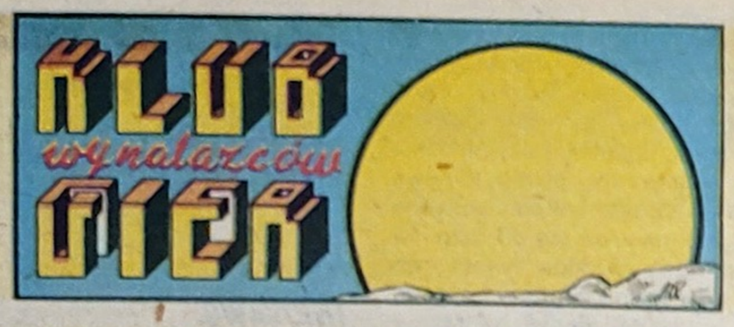

Wymyślaczy i zapalonych miłośników gier przepraszam, że tak dawno nie było w „Świecie Młodych" naszego kącika. Ale już jest! Dziś dwie sprawy: najpierw przegląd pomysłów gier literowych, a potem „Hemat" — nowa gra nadesłana przez czytelnika.

Jeśli macie ciekawe pomysły — przysyłajcie do Klubu Wynalazców Gier. Najlepsze wydrukujemy!

Literki

Ongiś namawiałem Was do wymyślania gier, do których można używać liter. Dostałem trochę listów, ale nie za wiele. Przedstawiam najciekawsze pomysły:

ERUDYTA

Janka Romaniak z miejscowości Wieprz napisała tak: „Do tej gry potrzebna jest kartka papieru, długopis i kostka. Mogą grać dwie osoby. Nie jest to gra skomplikowana. Każdy z graczy rzuca 4 razy kostką, a następnie zlicza wyrzucone oczka i pisze na swojej kartce tyle liter, ile wyniosła suma oczek. Oczywiście, mogą to być litery dowolnie wybrane przez gracza. Po tej części zaczyna się prawdziwa rywalizacja. Gracz wymyśla dla swojego przeciwnika określony temat, na który ma on odpowiadać wymyśleniem największej liczby słów, używając liter zapisanych na swojej kartce. Tematy mogą być różne. Wymyślone słowa mają być rzeczownikami. Wygrywa ten z graczy, który ułoży najwięcej prawidłowych słów związanych z zadanym tematem".

SŁÓWKOWIEC

Cytuję **Adama Kwaśnego** ze Stargardu Szczecińskiego: „Moja gra składa się z 52 płytek z literami (każda litera alfabetu po dwa razy). Na jednej płytce jest jedna litera. Oprócz płytek są dwie zasłonki tekturowe, choć mogą to być zwykłe zeszyty czy kartki.

Przed przystąpieniem do gry należy zebrać wszystkie płytki, zmieszać je i odwrócić „pustą" stroną do góry. Następnie grający biorą po siedem płytek, chowają je przed partnerami i układają z nich sensowny wyraz. Po ułożeniu odsłaniają swoje wyrazy. Wygrywa ten czyj wyraz jest najdłuższy. Jeśli dwa wyrazy mają po tyle samo liter, wygrywa pierwszy alfabetycznie.

Można także przyjąć zasadę, że zawodnicy biorą po 10 płytek i wygrywa ten, kto ułoży więcej wyrazów.

Za każde zwycięstwo 5 punktów, za przegranie 0 pkt, a za błąd ortograficzny — 2 pkt. Gracze sami ustalają do, ilu punktów chcąc grać".

LITERKI

Ogłaszając konkurs na gry słowne, przedstawiłem grę *Literki*, którą można kupić w niektórych sklepach. Jest w niej dużo płytek z literami. Te płytki można zastosować do innych, swoich gier. Zrobił tak Artur Wieczorek z Sandomierza. Wymyślił swoją grę *Literki* i tak ją opisał:

Rekwizyty do gry: żetony z literkami, kartka do zapisu punktów, zegarek z sekundnikiem, długopis dla każdego gracza.

Zasady gry: w grze uczestniczy dowolna liczba osób. Każdy dostaje 10 żetonów z literkami, ale nie widzi, jakie litery dostał. Zostaje wyznaczony czas, np. 20 sekund. Gracz stara się w tym czasie (oczywiście na hasło „start" — odkrywa swoje żetony) ułożyć jak najdłuższy wyraz.

Który z graczy **pierwszy** ułoży jakiś wyraz, otrzymuje 20 pkt drugi w kolejności — 18 pkt, itd. Gracz, który w tym czasie nie ułoży żadnego wyrazu, odpada z tej kolejki. Kolejek może być tyle, ile ustali się przed rozpoczęciem gry.

Później patrzymy, kto ułożył **najdłuższy** wyraz. Za najdłuższy wyraz otrzymuje się 30 pkt, za drugi pod względem długości — 28 pkt, za trzeci — 26 pkt itd.

Kończąc grę, podlicza się punkty w obu „konkurencjach". Ten zawodnik, który uzyskał najwięcej punktów w pierwszej konkurencji, uzyskuje tytuł: „bystry", a ten kto w drugiej — „myślący". A jeśli ten sam zawodnik będzie dobry w obu konkurencjach — może uważać się za „mistrza".

Autorzy opisanych wyżej gier, a także Wojtek Zarzyka z Sanoka i Jarek Borowski z Bielska Podlaskiego otrzymują za swoje pomysły znakomite gry prosto ze światomłodowej Listy Gier Przebojów.

• • •

HEMAT

Piszę do was po raz pierwszy. Namówili mnie do tego przyjaciele. Utworzyliśmy sobie organizację, dzięki której nie nudzimy się. Rozgrywamy między sobą różne gry planszowe. Jestem autorem kilku z nich. Są to m.in. rudet, germat i hemat.

Tę ostatnią chcę właśnie wam przedstawić.

Grzegorz Wawrzyński

Hemat nawiązuje do szachów. Graczy jest dwóch. Każdy ma komplet bierek (figury i pionki) szachowych: jeden — białe, drugi — czarne. Planszą jest szachownica.

Na początku gry dwa króle stawiamy na polach środkowych planszy (e5 i d4). W następnej fazie gry będziemy albo dostawiali bierki na puste pola albo je przesuwali.

Ruchy:

A. Pion, wieża i goniec mogą poruszać się we wszystkich kierunkach, ale tylko o jedno pole (jak król w szachach!).

B. Koń porusza się tak jak A, ale może też przeskoczyć własną bierkę lub przeciwnika i stanąć za nią (rys. 1).

C. Królówka porusza się we wszystkich kierunkach o dowolną liczbę pól (jak w szachach!).

D. Król nie może się poruszać.

Ruch jest obowiązkowy.

Zbicie następuje po okrążeniu bierki przeciwnika. Bierki, które otaczają, muszą znajdować się na wszystkich (z zasady — czterech) polach sąsiadujących bokiem z polem, na którym stoi otoczona bierka (rys. 2)

Bicie jest obowiązkowe.

Celem gry jest okrążenie wrogiego króla. Kto pierwszy okrąży króla z czterech stron — wygrywa.

Zasady gry przetestował i uzupełnił Jarek Lipszyc z Klubu Mądrych Gier działającego w warszawskim Pałacu Młodzieży.

Jarek zrezygnował z reguły ustalonej przez Grześka, że w swojej kolejce gracz może (oprócz dostawienia bierki i wykonania ruchu) zamieniać bierki i to na dwa sposoby: a) zdjąć swoją bierkę z planszy i na jej miejsce postawić drugą, jeszcze nie wyłożoną na szachownicę, b) zamienić miejscami dwie swoje bierki stojące na planszy. Według Jarka reguła ta komplikuje grę.

Grzegorz pisze: *„Grę można rozegrać w 5 minut lub w pół dnia. Zależy to od graczy. Nieraz wydaje się, że nie ma jak otoczyć króla, gra się przeciąga, ale zapewniam, że rozwiązanie zawsze się znajdzie, trzeba tylko pomyśleć".*

JACEK CIESIELSKI

Dlaczego mama mnie nie chce?

11.02

Myślę o domu i o tym, że tak bardzo brakuje mi Mamy. Chciałabym, żeby Mamusia mnie przytuliła i powiedziała kilka ciepłych słów. Ale to są tylko moje głębokie marzenia, które nigdy się nie spełnią. Długo nie mogłam zasnąć. Myślałam o Babuni i o moim chłopcu — łzy same leciały mi z oczu.

15.02

Dziś wstałam o godz. 7.50. Poszłam się umyć i nakryłam do śniadania. Po śniadaniu oglądałam telewizję. Potem obiad. Znowu nikt do mnie nie przyjechał. Po kolacji był film „Dziedzictwo miłości" — losy malarza i zakochanej w nim dziewczyny. Też nie była szczęśliwa. Znowu nie mogłam zasnąć. Dlaczego my wszyscy nie możemy być razem, w zgodzie? Ale szybko znalazłam odpowiedź: przecież Babunia nie żyje, a Mama mnie nie chce.

16.02

Dziś po śniadaniu poszłam do szkoły. Był to mój pierwszy dzień w szkole w tym roku szkolnym! Jak sobie poradzę?

18.02

Zamiast spać, myślałam o mojej najukochańszej Babuni. Tak bardzo bym chciała, żeby była przy mnie. Lecz to się nigdy nie spełni. Żeby chociaż zjawił się mój Tatuś. Ale on dawno zapomniał o mnie.

10.02

Położyłam się spać i długo myślałam, dlaczego ja nie mogę umrzeć? Tyle razy byłam tak blisko śmierci, ale zawsze wychodziłam z tego cało. Może ci, co mnie ratowali nie robiliby tego, gdyby wiedzieli, że będę miała takie życie...

22.02

Znów marzyłam, że jest przy mnie Mama, Babunia i Tata. Ale przecież to wszystko bzdura, bo Babunia już nie żyje, a Tata jest gdzieś w świecie i wcale go nie znam.

25.02

Z rozmowy z Panem Dyrektorem wynika, że Wielkanoc przyjdzie mi spędzić tutaj. Mama nawet do mnie nie napisze. A ja tu czekam i czekam, i żyję marzeniami. Żebym choć mogła się komuś zwierzyć? Ale to jest niemożliwe, bo wystarczy, żebym jednej dziewczynie coś powiedziała, to wszystkie będą się śmiać ze mnie.

28.02

Dziś Pani Kierowniczka wzięła mnie na krótką rozmowę. Rozmawiałyśmy o mnie i o domu. Niedługo minie miesiąc jak tu jestem. Coraz częściej myślę o domu, o Mamie. Mama będzie miała jeszcze jedno dziecko.

2.03

Dziś wstałam o godz. 6.45. Poszłam się umyć. Potem nakryłam do śniadania. Po śniadaniu szkoła. Po obiedzie odrabianie lekcji. Do kolacji już nie nakrywałam, bo była zmiana dyżurów. Teraz sprzątam pokój. Przed zaśnięciem myślałam o moim chłopcu. Dlaczego tak długo do mnie nie pisze?

Pani Wychowawczyni: Martę skierowano do naszego Ośrodka pół roku temu. Było to dziecko niedożywione i zaniedbane. Bardzo szybko ujęła mnie swoją pracowitością i ufnością w stosunku do dorosłych. Obserwowałam Martę uważnie i po pewnym czasie zorientowałam się, że ta pracowitość jest formą ucieczki od życia grupy, życia klasowego. Marta bez przerwy szyje i ciągle musi mieć coś w ręku. Pytałam dziewcząt, dlaczego nie włączą Marty do życia grupy, dlaczego są tak daleko od niej? Odpowiedziały mi, że to ona nie chce być z nimi.

Marta nie jest konfliktowa. Zawsze, gdy jest jakieś nieporozumienie między dziewczętami — odchodzi na bok.

W pierwszych dniach jej pobytu tutaj bałam się, że nie da sobie rady z nauką. Ale w bardzo krótkim czasie przekonaliśmy się, że stać ją na dobre oceny. Zaczęła naukę w połowie roku szkolnego, jednak szybko nadrobiła braki, uzupełniła zeszyty. Nie sądziłam, że będzie miała tak dobre oceny na świadectwie.

Martwi mnie to, że Marta jest taka zamknięta i samotna. Żeby chociaż coś spsociła, trochę pośpiewała, pośmiała się... Ale to dopiero początek pracy z Martą. Sądzę, że ten kontakt uczuciowy z nami wychowawcami i z dziewczętami zostanie w końcu nawiązany. Ale na to trzeba czasu.

Marta była w czasie Świąt Wielkanocnych w domu. Ponieważ matka nie odpowiadała na listy, pojechała do domu z pedagogiem, który rozmawiał z matką. Tłumaczył, że dziewczynce potrzebna jest jej miłość. Chyba matka dużo zrozumiała. Zaprosiła Martę na wakacje do domu. Po wakacjach wróci do nas.

Dyrektor Ośrodka: Państwowy Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy jest specjalną placówką opieki całkowitej, o charakterze resocjalizacyjnym, przeznaczonym dla młodzieży niedostosowanej społecznie. Młodzież kierowana jest do nas wyrokiem Sądu. W naszym Ośrodku przebywają dziewczęta, które nie znalazły swojego miejsca w rodzinie.

Baliśmy się o Martę, bo wiemy, że ma skłonności do ucieczki. Z poprzedniego Ośrodka uciekła, tułała się parę miesięcy nie wiadomo gdzie, straciła pół roku nauki. Taka ucieczka to niepowetowane straty dla dziewczyny. Przyjeżdżają potem do nas brudne, wychudzone, schorowane, znowu zamknięte i nieufne.

Marta oszczędziła nam i sobie tych dramatów. Przetrzymała trudne chwile i nie próbowała ucieczki. Chyba czuje się z nami coraz lepiej. Jedzie na wakacje do matki. Boimy się trochę tych wakacji. Rzadko się zdarza, żeby matka zmieniła swój stosunek uczuciowy do dziecka. Boimy się, żeby znowu Marty nie skrzywdziła.

Spisała
HANNA MIERZEJEWSKA

Drugi pod względem wysokości szczyt Ziemi, *„Góra, gór, której żadna inna dorównać nie może pięknością"* — jak określił ją Gunter Oskar Dyhrenfurth. Położona w głównej grani **Wielkiego Pasma Karakorum**, we wschodniej części **Baltoro Mustagh**. W czasie sporządzania siatki pomiarowej Karakorum przez kpt. **T.G. Montgomery'ego**, który uszeregowywał szczyty od zachodu ku wschodowi otrzymała numer 2. Przypadek zrządził, że cyfrą 2 opatrzono drugi szczyt Ziemi. Tymczasem szyfr stał się więc oficjalną nazwą góry. W latach międzywojennych próbowano wprawdzie wprowadzić nazwy krajowe: **Lamba Pahar** (w języku kashimiri), czy **Chogori** (w języku balti), ale się nie przyjęły.

K-2 posiada trzy granie: północno-wschodnią i północno-zachodnią położone w głównej grani Wielkiego Pasma Karakorum oraz południową wiodącą do znacznie niższego sąsiada — **Angelo** (*6 855 m n.p.m.*). Masyw charakteryzuje się również trzema wielkimi żebrami: południowo-zachodnim, południowo-wschodnim i filarem północnym. Opływają go trzy lodowce: **Sovoia**, **Godwin Austen** i **K-2**.

31 lipca 1954 roku włoscy przewodnicy alpejscy **Achille Compagnoni** i **Lino Lacedelli** — uczestnicy wyprawy kierowanej przez **Ardito Desio** dotarli na szczyt Góry gór **Żebrem Abruzzi**.

Pierwsze polskie wejście miało miejsce **23 czerwca 1986 roku**, a dokonała go **Wanda Rutkiewicz** uczestnicząca we francuskiej wyprawie **Maurice'a Barrarda**.

W dwa tygodnie później — **8 lipca 1986 roku** stanęli na szczycie **Jerzy Kukuczka** i **Tadeusz Piotrowski**, którzy poprowadzili nową drogą środkiem południowej ściany. W niespełna miesiąc po nich — **3 sierpnia 1986** roku wierzchołek K-2 osiągnęli **Wojciech Wróż**, **Przemysław Piasecki** i towarzyszący im Czechosłowak **Peter Bozik** — uczestniczący w wyprawie kierowanej przez **Janusza Majera**. Ci ostatni dokonali pierwszego przejścia południowo-wschodniego filara.

Góra jednak nie oddała swych zdobyczy za darmo. W 1986 roku — dodajmy w roku najwspanialszych polskich osiągnięć na K-2 śmierć na stokach Góry gór znalazło wielu wybitnych himalaistów. K-2 zaś zyskała ponurą sławę — „góry śmierci". **(kk)**

Repr. **Janusz Plewniak**

Szarańcza znowu groźna

Kraje Afryki nie zdążyły jeszcze zlikwidować wszystkich skutków, jakie były dziełem szarańczy, w ub. roku, a już grozi im nowe niebezpieczeństwo. Na północy Etiopii i w centralnych rejonach Sudanu — jak podała FAO (Organizacja Wyżywienia i Rolnictwa) — specjaliści wykryli 26 gigantycznych roi tych owadów.

Deszcze, które przerwały długotrwałą suszę, sprzyjały szybkiemu rozmnażaniu się szarańczy. Każdego dnia 40 mld owadów pożera 80 tys. ton zbóż, którymi można by nakarmić 15 mln ludzi. Rolnicy zmuszeni są po kilka razy zasiewać pola lub przenosić się w inne miejsca. A trzeba wiedzieć, że w ciągu 6 tygodni szarańcza jest w stanie zwiększyć swój rój aż 100 razy.

Obecnie roje fruną w kierunku Czadu, a ich „odnoga", nad Morze Czerwone. Grozi to przeniesieniem się szarańczy na Półwysep Arabski. W tym roku kraje afrykańskie mogą zetknąć się z największą w historii plagą tych owadów. Fachowcy z FAO uważają, że w tej chwili żaden z krajów afrykańskich nie jest w stanie samodzielnie przeciwstawić się fali szarańczy. Brak zwłaszcza trujących środków chemicznych i samolotów do opryskiwania.

Przy okazji warto wiedzieć iż owady szarańczy wędrownej mają długość ok. 5 cm a ubarwienie zielone lub brunatne. W Polsce również żyje bliski kuzyn szarańczy wędrownej — konik polny. Na szczęście owady te nie przebywają w stadach i nie wytworzyły instynktu wędrowania. Są zatem zupełnie nieszkodliwe. Ich „śpiew", przypominający „cykanie", często rozlegą się po polach i łąkach. Dźwięki te powstają przez pocieranie odnóży o pokrywy skrzydeł.

Warto jeszcze wiedzieć, że do XIX wieku kraj nasz nawiedzała okresowo szarańcza wędrowna, nadlatująca z rejonu Morza Czarnego i Kaspijskiego, wyrządzając olbrzymie szkody. Od dziesiątków już lat nie tylko Polska, ale cała Europa wolna jest od tych żarłocznych owadów. **(b)**

Raz na deszczowo

Już jesień. Tegoroczne lato nie rozpieszczało turystów. Zdarzało się i tak, że z pociągu wchodziło się prosto pod prysznic. Jednak dla wytrawnych, odpowiednio przygotowanych turystów, kaprysy aury nie są straszne — mimo deszczu humory dopisywały.

Na zdjęciach uczniowie Szkół Podstawowych z Knurowa w woj. katowickim podczas wędrówki szlakami Beskidu Żywieckiego.

(zb)

Fot. Zbigniew Bisanz

ZLOT „WIDLAKÓW"

(Inf. własna). 15 lat istnieje w Łodzi „Number One Club" czyli Koło Miłośników Motocykli Weteranów, któremu patronuje Automobilklub Łódzki. Warto od razu nadmienić, że takich klubów jest w Polsce około 30, ale ten w Łodzi jest najstarszy i najliczniejszy, bowiem zrzesza obecnie 60 członków. Są to przede wszystkim miłośnicy „widlaków", motocykli, których silniki są skonstruowane w kształcie litery „V". A „widlaki" to głównie „Harleye", które niegdyś wyparły konie. Legenda głosi, że amerykańscy kowboje przesiedli się właśnie z koni na te wspaniałe maszyny.

Już od lat 5 łódzcy miłośnicy motocykli weteranów są organizatorami zlotów, na których można te stareńkie cacka podziwiać. Tegoroczny zlot odbył się w Ldzaniu (woj. sieradzkie). Wzięło w nim udział około 100 osób i 70 pojazdów. Oprócz starych „Harleyów" oraz tak wytrawnego weterana, jakim jest polski „Sokół-1000", mogły też uczestniczyć „widlaki" nowszych typów. I tak mogliśmy obejrzeć różnej „maści" NSU, BMW, „Nortony", BSA i inne stalowe rumaki, wśród których nagrodę za oryginalność otrzymał „Harley" wersji wojskowej typu WLA z roku 1942.

W imprezie, oprócz ekipy z Polski, uczestniczyli także goście z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, RFN i Czechosłowacji. Było na co popatrzeć.

(awm)

Fot. **P. Jaskow**

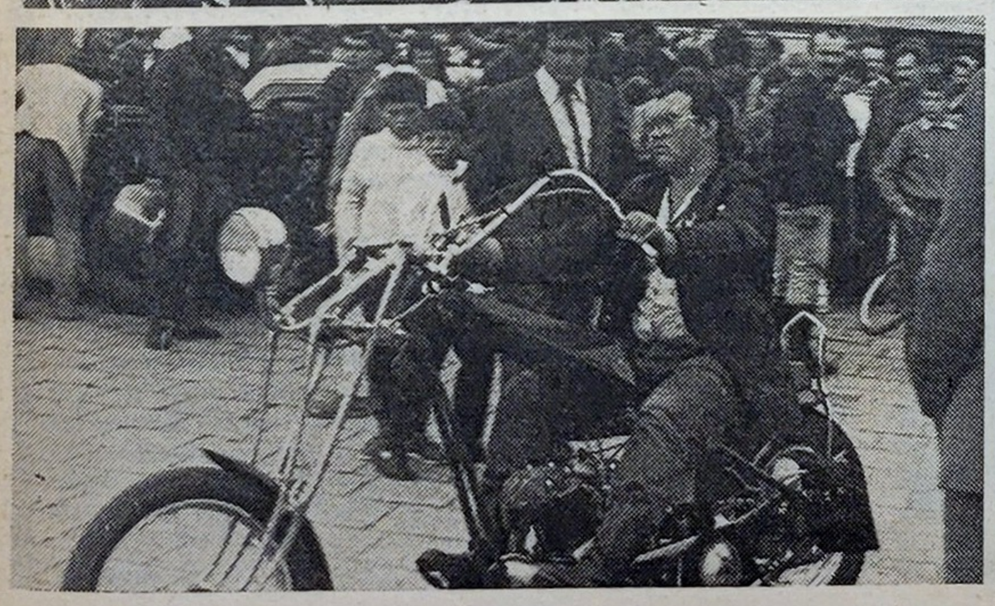

Dwie zlane potem dziewczyny żwawo poruszają się przy pingpongowym stole. Raz jedna atakuje, ostro ścinając celuloidową piłeczkę z backhandu, to znowu druga topspinowym forehandem spycha rywalkę do obrony. Na przemian zdobywają punkty. Pokrzykują, tupią ze złości nogą w podłogę, od czasu do czasu unoszą rękę w triumfalnym geście. Po kilku nieudanych akcjach jedna wyciera ukradkiem łzy. Toczą walkę, jakby grały w finale mistrzostw świata. A to final XXXII turnieju o puchar redakcji „Sztandaru Młodych". Dla Ewy Paziewskiej i Ewy Stawickiej pojedynek ten miał jednak ogromne znaczenie. Wygrać pierwszy w życiu, poważny turniej to przecież olbrzymia satysfakcja. Doświadczyła jej Ewa Paziewska z Woli Łaskarzewskiej w woj. siedleckim.

PIERWSZY KROK ZOSTAŁ ZROBIONY

Na treningową salę trafiła za namową starszego brata — Tadeusza. Uprawiał on przez kilka lat tenis stołowy, zajął nawet trzecią lokatę w turnieju o Puchar „Sztandaru Młodych". Pragnął, aby w jego ślady poszła także siostra. Ewa miała wówczas 7 lat i jak sama przyznaje, nie bardzo ciągnęło, ją do sportu. Przez pierwszych kilka tygodni brat musiał niemal siłą ciągnąć ją na salę. Ona — zwinna, ruchliwa, szybko nauczyła się pingpongowego abecadła i coraz bardziej lubiła treningi. Doszło to tego, że na kolejne zajęcia nie mogła się wprost doczekać. Brat pokazywał jej coraz trudniejsze uderzenia, uczył jak ma się ustawiać przy stole, jak układać rękę przy forehandzie i przy backhandzie oraz różnych sposobów serwowania.

Ewa czyniła stałe postępy. Mając 10 lat, wystartowała po raz pierwszy w eliminacjach do turnieju o puchar „Sztandaru Młodych" i przebrnęła je pomyślnie. W finałowych zawodach zajęła 7 lokatę, co jak na debiut, uznała za dobry wynik. Po roku ponownie wystartowała w tej imprezie i również zakwalifikowała się do finałów, ale zaległości treningowe spowodowały, że zajęła dopiero 9 miejsce. W bieżącym roku po raz trzeci pomyślnie przebrnęła przez eliminację, zdecydowanie wygrywając ze wszystkimi rywalkami. Do finału przygotowywała się szczególnie starannie. Była między innymi na obozie przygotowawczym w Siedlcach. Pod kierunkiem trenerów: **Sylwestra Dąbrowskiego** i **Henryka Zaremby**, znacznie poprawiła techniczne umiejętności, a szczególnie najskuteczniejsze uderzenie — czyli topspin. Efekty było widać w decydujących bojach.

Zwycięstwo nie przyszło jej łatwo. Wcale na sukces nie liczyła. W stawce silnych, wyrównanych poziomem zawodniczek w kategorii wieku do 13 lat, marzyła o trzeciej, czwartej lokacie. Stoczyła wiele zaciętych pojedynków, ale zwykle w decydujących momentach ostatnie słowo należało do niej. Szczególnie napracowała się w meczach z Edytą Kamińską i Ewą Stawicką — dwiema faworytkami tej kategorii wiekowej. Udowodniła, że oprócz wysokich już umiejętności technicznych, posiada także dużą odporność psychiczną. Po wygraniu ostatniego pojedynku wykonała taniec radości i pobiegła podziękować bratu. Podkreśla, że w dużej mierze swój sukces zawdzięcza właśnie jemu.

Poza sportem, który jest główną pasją Ewy, interesuje się biologią oraz lubi książki przygodowe. Szczególnie chętnie czyta cykl powieści Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim. Ostatnio przeczytała „Tajemniczą wyprawę Tomka". Kolekcjonuje także wycinki z gazet poświęcone tenisowi stołowemu, a w szczególności Andrzejowi Grubbie, który jest jej idolem. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszcza, że mogłaby mu kiedyś dorównać, ale pragnie osiągnąć coś w ping-pongu, chociaż na krajowym podwórku. Lubi wyjazdy, turnieje, atmosferę dużych zawodów, doping kibiców. Chciałaby zwiedzić Polskę, a może później i kawałek świata. Wie, że aby to osiągnąć nie wystarczy tylko ta odrobina talentu, którą niewątpliwie posiada, ale także wiele lat intensywnego treningu. Na razie pracy się nie boi i gotowa jest poświęcić cały swój wolny czas dla tenisa. Sukces w zawodach „Sztandaru Młodych" zmobilizował ją do dalszego podnoszenia umiejętności i rozbudził apetyt na dalsze zwycięstwa.

ANDRZEJ BACZYŃSKI

Fot. **M. Włodarski**

SIGOURNEY WEAVER: piękna pogromczyni „Obcych”

GWIAZDOZBIÓR

Minęło 7 lat od głośnego sukcesu filmu „Obcy — ósmy pasażer Nostromo” Ridleya Scotta. A w ubiegłym roku odbyła się premiera dalszej części tej pełnej grozy kosmicznej historii. Tytuł filmu mówi sam za siebie: „Obcy — decydujące starcie”, a wyreżyserował go James Cameron. Jak widzicie, ten światowy przebój dotarł do nas błyskawicznie i rzeczywiście robi furorę. W roli głównej — znów Sigourney Weaver jako dzielna Ellen Ripley — jedyna z 7-osobowej załogi statku kosmicznego „Nostromo”, która przeżyła straszliwe spotkanie z Obcymi.

Od czasu tych przerażających wydarzeń minęło 50 lat (oczywiście mowa o czasie akcji filmu). Ripley nie zmieniła się jednak — spędziła je, uciekając od koszmaru, w komorze hibernacyjnej. Nadal jest piękna i młoda, ale czas letargu nie zatarł w niej makabrycznych wspomnień. Pozbawiona decyzją lekarzy licencji pilota kosmicznego żyje samotnie, towarzyszy jej jedynie kot uratowany z pokładu „Nostromo”. W dzień pracuje jako operator dźwigów, a nocą dręczą ją koszmarne sny...

A jednak znów zdecydowała się wejść na pokład kosmicznego statku, świadoma, że prawdopodobnie czeka ją znów przeżycie koszmaru na jawie.

Z planety Aszeron skolonizowanej przez ludzi przestają dochodzić na Ziemię jakiekolwiek sygnały. Ostatnia od nich wiadomość ma sens dla Ripley jednoznaczny. Mieszkańcy Aszeron natrafili na opustoszały wrak „Nostromo”...

Ziemia wysyła na Aszeron statek z oddziałem doskonale wyszkolonych komandosów. Ale tylko oficer Ripley zdaje sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Tylko ona wie, z czym przyjdzie się zmierzyć tym ludziom i nie ma wątpliwości, iż nie istnieje alternatywa. Obcych należy zniszczyć! Datego właśnie decyduje się wziąć udział w wyprawie.

Sigourney Weaver zagrała tę rolę tak wspaniale, że nominowano ją za nią do nagrody Oscara. Jej Ripley jest twarda jak stal, jak żołnierz, jak dowódca, a zarazem niezwykle kobieca — opiekuńcza, kierująca się emocjami, instynktem... Oglądając ją nawet w tej jednej roli — uświadamiamy sobie, że widzimy aktorkę, której nie da się „zaszufladkować”, która perfekcyjnie poradzi sobie z każdym zadaniem. Chwała za stworzenie takiej bogatej postaci scenarzyście i reżyserowi zarazem.

Urodziła się 8 października 1949 r. w Nowym Jorku. Jej matką jest aktorka, a ojciec prezesem sieci tv NBC. Studiowała aktorstwo w School of Drama w Yale i Stanford. Potem występowała wyłącznie w teatrach. Najpierw, ze swoim kolegą na tzw. Off Broodway, a od 1974 r. na scenie profesjonalnej, i to u boku Ingrid Bergman. Publiczności jeszcze jej nazwisko nie mówiło nic, ale filmowcy zwrócili na nią szybko uwagę. Przed kamerami stanęła w 1977 r. najpierw w telewizji. Zagrała w serialach „Najlepsze z rodzin” i „Somerstet”. Jeszcze w tym samym roku zaprosił ją do swego filmu Woody Allen. Ale w „Annie Hall” zagrała tylko epizod. Podobnie — w filmie „Zwariowany facet”.

A potem była już Ripley w „Obcym — ósmym pasażerze „Nostromo”. I sława, z dnia na dzień. Od tej pory mogła już sobie pozwolić na „przebieranie” w rolach. Sigourney twierdzi, że kieruje się prostą zasadą — szuka w scenariuszu „mocnej” historii: *Aktor samym sobą nie wypełni przecież ekranu przez dwie godziny...*

Szybko więc z propozycji jakimi ją zasypano po sukcesie „Obcego...” wybrała właściwy scenariusz. Był to „Naoczny świadek” Petera Yatesa. Tego samego roku (1981) zagrała w jeszcze lepszym filmie — w australijskim „Roku niebezpiecznego życia” Petera Veira. Ten polityczny dramat, a zarazem pasjonujący romans (partnerował jej Mel Gibson), oglądaliśmy na polskich ekranach.

Steven Spielberg zasugerował jej, że wg niego mogłaby znakomicie wypaść w komedii ze szczyptą grozy. Jego ocena potwierdziła się. Dowodem tego był film Ivana Reitmana „Ghostbousters” („Pogromca duchów”).

Grywa ze znakomitymi partnerami. Wśród nich był już Dan Aykroyd, Mel Gibson — właśnie, Michael Caine i Gerard Depardieu. Sigourney twierdzi, że zazdrości im doświadczenia, ale czuje się już przed kamerą równie pewnie jak na scenie. Z Michaelem Caine spotkała się na planie filmu „Escort Girl” Boba Swaima zaś z Depardieu we francuskim filmie z 1986 r. pt. „Jedna kobieta, czy dwie”, reżyserowanym przez Daniela Wigne.

Ostatnio Sigourney Weaver gra w filmie Michaela Apteda „Goryle we mgle” postać autentyczną. Jest nią Dian Fossey — brytyjska przyrodniczka, która wiele lat spędziła na obserwowaniu i badaniu życia goryli w Afryce (jej wspomnienia drukowano w Polsce). Dian Fossey dwa lata temu została zamordowana przez kłusowników w rezerwacie Rwana. Film kręcony jest w Afryce. Sigourey Weaver jest szczęśliwa: — *świat filmu jest wszędzie ten sam, a podróże mnie nie męczą*. Czy w równym stopniu podróże te cieszą jej męża Jima Simpsona, który od chwili ślubu w 1984 r. na palcach obu rąk może policzyć tygodnie spędzone razem ze swą piękną, sławną Sigourney — nie wiemy...

EWA BIELSKA

Na zdjęciach oficer Ellen Ripley ze szczęśliwcami, którzy dzięki niej przetrwali „kontakt” z Obcymi: z kapralem Hicksem (Michael Biehn), małą Newt (Carrie Henn) i rudym kociskiem z pokładu „Nostromo”

DOM MODY
świata młodych

SZELKI, SZELKI, SZELKI

Do czego służą szelki, każdy wie — do podtrzymywania dolnych części garderoby (spodni, spódnic), u osób które nie mają ... talii. Najczęściej używają szelek przedszkolaki młodsze (gdzieś do 4–5 roku życia figura dziecka jest talii pozbawiona) oraz starsi panowie z tzw. brzuszkami, którzy zamiast wklęśnięcia mają w miejscu talii wypukłość.

Zdarza się jednak, że używają szelek również i smukłe zgrabne dziewczyny. Nie dlatego bynajmniej, że bez nich spódniczka czy spodnie by im opadły, nic podobnego. Noszą je wyłącznie dlatego, że taki jest akurat w danej chwili kaprys mody. A takie chwile (gdy szelki są modne) zdarzają się co parę lat. Na przykład właśnie teraz.

Oczywiście szelki (takie klasyczne męskie szelki — gumowe, przymocowywane na klamerki) to w całości garderoby zupełny drobiazg. Ale, jak wiadomo bardzo często właśnie takie ciuchowe drobiazgi stanowią o kształcie całości, więc warto wiedzieć, że te szelki są aktualnie na tapecie.

Mogą być węższe, mogą być szersze, mogą być z gumy gładkiej lub wzorzystej, jak kto chce. Zasada jest taka, że takie szelki powinno być widać, więc gdy bluzka (sweterek) jest ciemna — szelki powinny być jasne i na odwrót.

Bardzo stylowe są szelki ozdobne, zrobione z gumy jakby koronkowej. Trochę trudno będzie takie właśnie zdobyć (bo tych zwyczajnych jest w pasmanteryjnych sklepach bez liku), ale ponieważ te szelki tak naprawdę niczego potrzymywać nie muszą i służą wyłącznie ozdobie, można je również wykonać z całkiem nieelastycznego materiału jakim jest... zwyczajna bawełniana koronka, tzw. wstawka. Wydatek niewielki, roboty na kilka minut, a jaki szyk! I co Wy na to?!

RIUSZKA

dawno... niedawno...

Norymberska sprawiedliwość

30 września i **1 października 1946 roku** w Norymberdze Międzynarodowy Trybunał Wojskowy ogłosił wyrok w procesie głównych niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Trybunał — działający w imieniu koalicji antyhitlerowskiej — składał się z przedstawicieli czterech głównych jej mocarstw (USA, ZSRR, W. Brytanii i Francji); jego zadaniem było osądzenie instytucji i osób, które „działając w interesie III Rzeszy" popełniły zbrodnie przeciw pokojowi (*planowanie, przygotowanie, rozpoczynanie lub prowadzenie wojny napastniczej albo wojny będącej pogwałceniem traktatów*), zbrodnie wojenne (*morderstwa, znęcanie się nad ludnością cywilną i jej deportacja, znęcanie się nad jeńcami wojennymi, zabijanie zakładników, rabunek własności publicznej i prywatnej, bezmyślne burzenie miast i wsi, dokonywanie spustoszeń nie usprawiedliwionych koniecznością wojenną*) oraz zbrodnie przeciwko ludzkości (*wytępianie ludzi i narodów lub obracanie ich w niewolników, inne nieludzkie czyny, prześladowanie ze względów politycznych, religijnych i rasowych*). Na siedzibę MTW wybrano Norymbergę, ponieważ to właśnie w tym mieście **15 września 1935 roku** Reichstag uchwalił haniebne rasistowskie ustawy będące „prawną" podstawą do dokonania przez hitleryzm tych wszystkich zbrodni.

Akt oskarżenia objął 24 najwyższych dygnitarzy III Rzeszy; osądzeniu podlegały także naczelne instytucje państwowe.

Po trwającym 216 dni procesie 21 oskarżonych uznano winnymi, a jako organizacje zbrodnicze określono NSDAP, SS, SD (Służbę Bezpieczeństwa) i Gestapo. Część oskarżonych skazano na karę śmierci, część na długoletnie więzienie; tych osadzono w więzieniu w Spandau (Berlin Zach.). W 41 rocznicę wyroku więzienie będzie już puste. Kilka tygodni temu R. Hess ostatni jego więzień, popełnił samobójstwo.

W naszym niespokojnym świecie zasady sformułowane przez Trybunał Norymberski stanowią ważny element ładu moralnego, jakim kierować się powinna międzynarodowa społeczność. Zwłaszcza ta, iż *„planowanie, zaczynanie lub prowadzenie agresji wojennej jest największym przestępstwem wobec Ludzkości, za które osoby, jak i państwa będą osądzone"*. Także, że *„okoliczność, iż oskarżony działał z rozkazu swego rządu albo swego zwierzchnika nie zwalnia go od odpowiedzialności"*.

O Norymberdze powinni pamiętać ci wszyscy, dla których wojna jest możliwym do pomyślenia i przeprowadzenia sposobem załatwienia sporów i konfliktów.

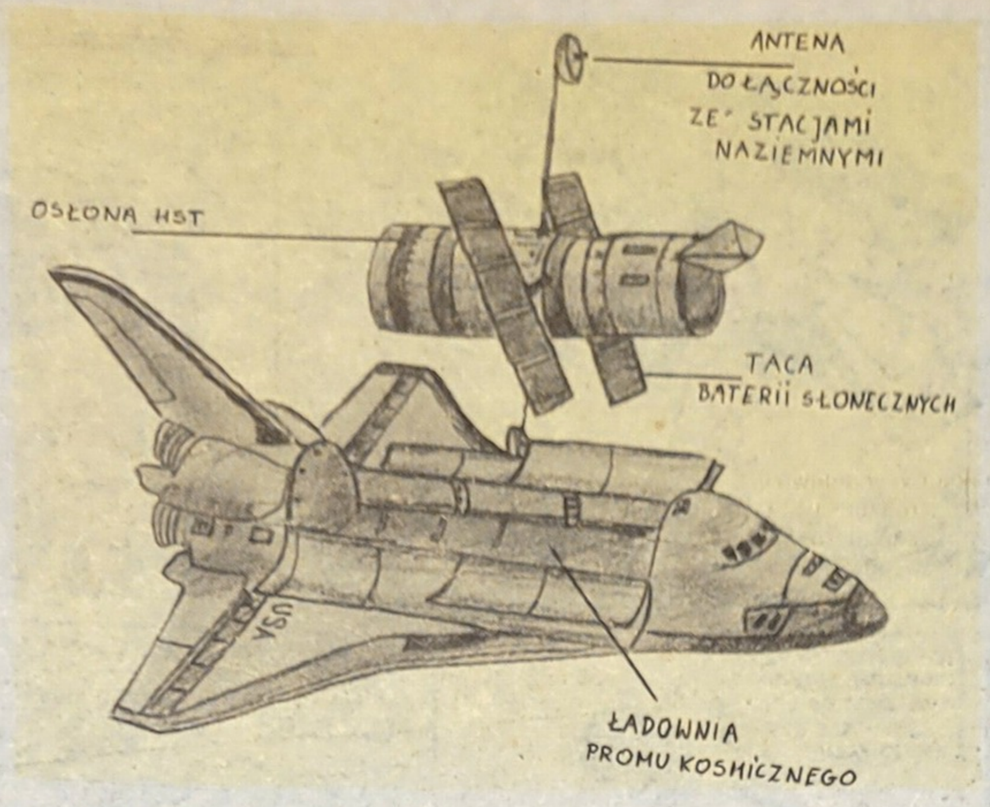

Kosmiczna dziurka od klucza

Pragnąłbym, przynajmniej ogólnie, przedstawić program startu dużego teleskopu kosmicznego (przygotowywanego od kilkunastu lat pod kierunkiem amerykańskiej agencji NASA), a od pewnego czasu nazywanego skrótem HST.

Po przeczytaniu wielu publikacji, doznałem pewnego rodzaju wstrząsu, zwłaszcza wtedy gdy uświadomiłem sobie ile cennych informacji, materiałów naukowych i nowych danych o kosmosie może dostarczyć takie „okno na wszechświat." Zastanowiło mnie też, dlaczego jest tak mało informacji na ten temat, jednocześnie stwierdzam, iż jestem pewien tego, że za parę lat gdy dojdzie do startu HST, będzie on ogólnoświatowym szlagierem nr 1. Na zrealizowanie tego przedsięwzięcia, czekają nie tylko zawodowi astronomowie, lecz także amatorzy interesujący się badaniem ciał niebieskich oraz astronautyką.

Wracając jednak do konkretów, skrót HST oznacza Hubble Space Telescope (— teleskop kosmiczny Hubble'a), a wiąże się z nazwiskiem Edwina Hubble'a wielkiego uczonego amerykańskiego. Przed katastrofą Challengera planowano umieszczenie teleskopu na orbicie okołoziemskiej za pomocą promu kosmicznego Atlantis (w październiku 1986 r.), obecnie jednak termin startu nie jest znany.

Nadzieje, jakie wiąże się z HST wynikają z zakładanych jego zdolności obserwacyjnych. Mimo że średnica zwierciadła głównego (2,4 m) ustępuje wyraźnie największym teleskopom naziemnym, pozwoli obserwować obiekty świecące 50-krotnie słabiej niż te, które udaje się dostrzec z powierzchni naszej planety. Zwiększy zasięg obserwacji astronomicznych z 2 mld do 14 mld lat świetlnych, a objętość dającego się dostrzec obszaru wszechświata aż 350 razy (!).

Będzie to można osiągnąć dzięki wyeliminowaniu zakłócającego wpływu atmosfery ziemskiej. Ta ostatnia zresztą, nie tylko ogranicza precyzję subtelnych obserwacji astronomicznych (ograniczenia to zapylenie, ruchy termiczne oraz propagacja światła rozproszonego), ale i zwęża ich zakres widmowy. HST będzie mógł rozróżniać obiekty astronomiczne odległe od siebie na firmamencie zaledwie o 0,1 sekundy łuku. Odpowiada to możliwości zaobserwowania jako oddzielnych źródeł światła prawego i lewego reflektora samochodowego, z odległości ponad 4 600 km, bądź też dostrzeżenia na Jowiszu formacji o rozmiarach 300 km, a na Plutonie 2 800 km.

Pod nazwą „teleskop kosmiczny", kryje się bardzo duży i skomplikowany satelita astronomiczny. Jego masa wyniesie 11 600 kg, zaś wymiary; długość i średnica korpusu — bez wysięgników: 13,1 km i 4,3 m. Dwie rozkładane płaszczyzny baterii słonecznych o łącznej pow. 33 m², dostarczać mają mocy 4 kW. Poza korpus wystają 2 anteny kierunkowe do łączności z ośrodkiem naziemnym — prowadzonej przy wykorzystaniu satelitów geostacjonarnych TDRS. Przewiduje się przesyłanie na Ziemię 2,8 × 10⁹ do 3,7 × 10⁹ biletów informacji dziennie.

W układzie optycznym — wybrano układ reflektorowy typu Rotcheya-Cretiena — wykorzystuje się parę zwierciadeł. Zwierciadło główne o średnicy 2,4 m wykonano ze szkła o bardzo małym współczynniku rozszerzalności cieplnej. Na wypolerowaną (pod nadzorem komputera) gładź napylono w próżni niezwykle cienką warstewkę aluminium. Ta z kolei jest chroniona jeszcze cieńszą powłoką z fluorku magnezu. Z układem optycznym HST współpracują 3 czujniki; do precyzyjnego ustawienia w przestrzeni całego satelity, kamera do fotografowania słabych obiektów, spektograf o wysokiej rozdzielczości oraz szybki fotometr. Piąty przyrząd, to kamera szerokokątna i planetarna.

Sztywność konstrukcji mechanicznej układu, braz jej niepodatność na odkształcenia termiczne uzyskano stosując ażurową walcową strukturę złożoną z pierścieni i krzyżujących się z nimi skośnie prętów grafitowo-epoksydowych. Okres eksploatacji teleskopu ma wynieść 15 lat, a blokowa budowa przyrządów będzie pozwalać na prowadzenie serwisu na orbicie wokółziemskiej. Należy też wspomnieć, że w celu jak najlepszego wykorzystania HST, utworzono specjalny Instytut Naukowy z siedzibą w Ośrodku Lotów Kosmicznych im. Goddarda. W jego pracach, obok licznej międzynarodowej obsady, uczestniczą uczeni z Polski. (Dane techniczne HST i liczne informacje czerpałem z dwumiesięcznika „Astronautyka" nr 6/1986).

Przemysław Gawczyński (17 lat)
37-710 Żurawica 76
woj. przemyskie

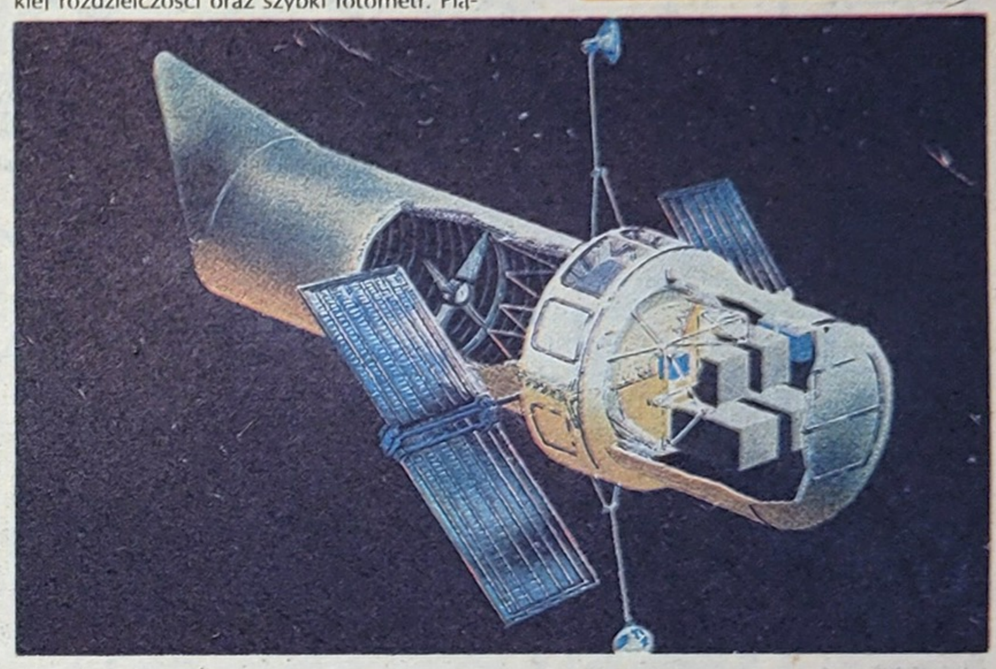

KSIĘŻYCE URANA BEZ TAJEMNIC

Międzyplanetarna sonda „Voyager 2", która w początkach 1986 r. przeszła w pobliżu Urana, dostarczyła także wielu danych o pięciu największych księżycach tej planety. W zasięgu kamer i czujników „Voyagera" znalazły się satelity Urana — Miranda, Ariel, Umbriel, Tytania i Oberon. Księżyce te ze względu na znaczne oddalenie Urana od Ziemi były dotychczas bardzo małe znane. Ustalono tylko ich orbity, rozmiary. a także bardzo ogólnie charakterystykę powierzchni. Z Ziemi można było obserwować tylko ciemne lub jasne plamy na tych księżycach, będące podłożem skalnym albo warstwą lodu lub szronu.

„Voyager" dostarczył wielu nowych danych.

Dzięki kamerom sondy rozpoznano wiele szczegółów na powierzchni tych księżyców. Stwierdzono na nich wyraźnie ślady aktywności tektonicznej i geologicznej.

Najbliżej Urana znajduje się Miranda o średnicy ok. 500 km — zbliżona wielkością do księżyca Saturna — Enceladу. Znaczna część południowej półkuli Mirandy pokryta jest jasnymi lub ciemnymi pasami. Są to doliny i gigantyczne skalne grzędy pochodzenia tektonicznego. W innych rejonach Mirandy znajduje się ogromne skupisko kraterów o średnicy od 5 do 30 km. Rozpoznano też na powierzchni tego księżyca liczne pęknięcia, rozłamy i uskoki. Ariel jest najjaśniejszym księżycem Urana. Większa część jego powierzchni jest usiana kraterami. Odkryto także liczne doliny i uskoki. Uczeni uważają, że są to ślady rozszerzania się satelity i rozciągania jego skorupy. Na Arielu można wyróżnić trzy fazy jego tektonicznej i geologicznej historii. Najstarsza, to ślady bombardowań przez meteoryty, w środkowej tworzyły się rozłamy, a w najmłodszej rozległe równiny. Prawdziwą rewelacją było znalezienie śladów przypominających zjawiska erozji wodnej na Ziemi.

Kolejny satelita Urana — Umbriel jest także gęsto usiany kraterami. Największe z nich osiągają średnicę 140 km i 110 km. Kratery te odznaczają się płaskim dnem. Umbriel przypomina inne księżyce z naszego układu słonecznego: satelitę Saturna — Reę oraz Jowisza — Kallisto. Tytania jest największym księżycem Urana — ma 1600 km średnicy. Na jej powierzchni wykryto gigantyczne kratery dochodzące do 300 km średnicy, a także płaskodenne doliny o szerokości ok. 75 km i długości 1500 km. Na zboczach tych dolin występuje dużo błyszczącej substancji. Jest to być może szron. Oberon — najdalszy satelita Urana — wielkością zbliżony do Tytanii, także obfituje w kratery. Na Oberonie dokonano też sensacyjnego odkrycia. Na tle ciemnego nieba kamery zarejestrowały obraz ogromnej, samotnej góry sterczącej na równinie usianej kraterami. Wysokość tej góry oblicza się na 6 tys. m. Jest to pierwszy tego typu obiekt spotkany na księżycach planet-gigantów.

— Kto tam dzwonił Felinko? — zapytała słabym, ale pełnym zainteresowania głosem Celina, kiedy Fela przemykała się do swego pokoju.

— Nic takiego. Taki jeden spryciarz od przerabiania drzwi i okien. Spławiłam!

— To dobrze. Nie puszczaj takich za próg.

— Jasne. A jak się pani czuje?

Celina zastanowiła się. Z twarzy jej spłynęło chwilowe ożywienie, spojrzała na Felę z dołu, podnosząc oczy jak na obrazach Carlo Dolci. — Nie wiem — szepnęła — może lepiej... Ale nie przejmuj się dziecko.

Fela załamała w duszy ręce, ale postanowiła być opanowana. Niewątpliwie wymiana zdań ze strapionym ojcem dopomogła jej w tym opanowaniu.

— Zmierzymy temperaturę! — powiedziała zawodowym tonem pielęgniarki.

Zajrzała do małego, który w międzyczasie zasnął, po czym z drżeniem serca odebrała od Celiny termometr. Było niezbyt dobrze. Trzydzieści osiem z kreskami.

— No? — zapytała słabym głosem Celina.

— Nic nadzwyczajnego. Siedem i pięć — zełgała Fela i nagle ożyły w jej pamięci złowróżbne opowieści Sabinki. Nożyczki? No, może nie nożyczki, ale...

— Może ja teraz trochę zasnę — oznajmiła z otuchą Celina. — Zajmij się spokojnie małym, nie przejmuj się mną.

Były to na pewno dobre rady. Fela z miłym uśmiechem i zaciśniętymi zębami wyszła na palcach z pokoju, ale wtedy nagle opadły ją inne wątpliwości. Dobrze, załóżmy że to nie nożyczki, ale na przykład tyfus? Żółtaczka? W Hamburgu wykryto dwa przypadki cholery.

Pobiegła do łazienki. Umyła ręce, wytarła je spirytusem, przebrała się i włożyła duży fartuch. Bez litości obudziła smarkacza, wykąpała, przebrała, zmieniła pościel na jego legowisku. Mały dawał wszystko z sobą robić bez oporu, patrząc na nią struchlałymi, okrągłymi oczkami.

Czemu on taki grzeczny? — martwiła się Fela. — Wyraźnie chory!

Przypomniała sobie, że śniadaniowa kasza lądowała w znacznej części na poduszkach i podłodze, więc należałoby chyba go nakarmić. Ugotowała szybko jajko na miękko, dodała pokrajany pomidor. Przypomniała sobie z poprzedniego dnia, że on nie znosi pomidorów. Mniejsza!

Siedział, jak go posadziła, grzecznie i patrzył na nią z zainteresowaniem.

— Trzeba grzecznie zjeść! — powiedziała pedagogicznie, co jednak nie było zupełnie potrzebne. Podopieczny zamknął oczy, otworzył dziób i łykał grzecznie łyżeczkę za łyżeczką. Fela ani się spostrzegła, kiedy filiżanka była pusta, a oni oboje patrzyli na siebie, wyczekująco i niezdecydowanie. Pierwszy złamał się Adaś.

— Tu, tu... — oświadczył z kokieterią i podskoczył na pupie.

Feli wydało się to wzruszające do łez, ale pohamowała wszelkie spontaniczne odruchy, pamiętając o tyfusie, żółtaczce, ewentualnej cholerze.

— Śmieszny jesteś — powiedziała. Oświadczenie zostało przyjęte z zadowoleniem. — A ten twój tata — ciągnęła, ale nagle urwała. Nie. Nie należy do syna mówić źle o ojcu. Ale czy to już jest syn, czy jeszcze żaba, a może nawet kijanka? Niemniej zniechęciła się do tematu, ponieważ uprzytomniła sobie, że trzeba zajrzeć do Celiny, a poza tym kuchnia przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy. Należałoby ponadto zrobić zakupy, a dziecko powinno wyjść na powietrze. Po prostu dno. Westchnęła i postanowiła zająć się na razie kuchnią.

Adaś siedział sobie wygodnie na kocyku, rozesłanym między wywróconymi krzesłami i bawił się plastikowymi pudełkami, zza uchylonych drzwi dobiegało lekkie pochrapywanie Celiny, no, po prostu idylla. Kiedy jeszcze na suszarce zabielił się szereg pomytych naczyń, a w rondlu zalśnił złocistą pozłotą rosół z kurczaka, Felę ogarnął nagle spokój, podobny do zobojętnienia na sprawy tego świata. Przecież robię, co mogę! — szepnęła w duszy, siadając wreszcie na stołku.

— A kuku!

Fela zerwała się ze stołka. Za parterowym oknem widniała różowa i uśmiechnięta twarz doktora Gucia.

— Widziałem, jak pani się krząta — pochwalił Gucio — no, a teraz niech mi pani otworzy, zobaczymy naszą chorą.

Cdn.

28

W KOSMOS!...

Bilkiem WESTERN i...

TEKST I RYS:
Jerzy Wiślewski

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 R.
Nr 116(4357)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137 - 3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Fotoreporterzy tel. 21-98-28. TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych.
Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Magdalena Piotrowska
Opracowanie techniczne: Wiesława Chmielewska
Korekta: Barbara Wasilewska

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 3238/C/87. K-62
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

UŚMIECH NUMERU

NAJMŁODSZA Mądralówna zamęcza starszego brata pytaniami, wyprowadzając go często z równowagi. Dziś na przykład spytała:

— Dlaczego nasza babcia zakłada okulary, gdy zaczyna szyć igłą?!

— Żeby... żeby się nie ukłuła w oko...!

23

ODPOWIEDNIA DZIEWCZYNA

Maria Krüger

— Dam pani herbaty z cytryną... — szepnęła bezsilnie. Herbata z cytryną wydała jej się czymś ożywczym i nieszkodliwym zarazem. Ale nim zdążyła zrobić krok w stronę kuchni z jej obecnego pokoju rozległo się przeraźliwe skomlenie.

— No, oczywiście! — jęknęła i z impetem otworzyła drzwi. Ale widok, który ją przywitał, nie był bynajmniej wstrząsający. Adaś stał wśród rozrzuconych poduszek na czworakach i śmiał się do niej, patrząc jednym okiem jak wróbel. Sztuka jednak nie udawała się na długo, i wtedy padał z rozmachem na pupę, skomląc z wyraźnej irytacji.

— No, no — powiedziała stanowczo — dość tego dobrego. — I wyszła do kuchni energicznym krokiem, postanawiając opanować sytuację.

Nie było to jednak łatwe. Nie wiadomo, czy gorsza była cierpiętnicza zgodność Celiny, czy znakomity humor Adasia, plującego z zapałem kaszką na świeżo powleczone poduszki.

— Jesteś nieznośny smarkacz — powiedziała przez zaciśnięte zęby Fela, co zostało przyjęte przez rozkosznego aniołka nowym wybuchem humoru. — Leżeć! — zawołała z rozpaczą — bo zobaczysz!

— Bla! — odpowiedział impertynencko Adaś i wytrącił jej z ręki łyżkę pełną kaszki.

Feli zaszumiało w głowie, przed oczyma zamigotała czerwona mgła, a upaćkana kaszą dłoń plasnęła w tłustą pupę diabelca. Adaś oniemiał, utkwiwszy w Feli wytrzeszczone okrągłe oczki, w których malowało się coś w rodzaju koleżeńskiego uznania.

— Uderzyłam dziecko! — pomyślała ze zdumieniem Fela — uderzyłam cudze dziecko! — stwierdziła, jak gdyby te własne były bardziej odpowiednie do bicia. I w tej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi.

— Gucio! krzyknęła dusza Feli. — Drogi, złoty Gucio! Pospieszył się! — i szarpnęła drzwi wejściowe otwierając je szeroko dla Gucia, jasnego promyka w czarnej otchłani zamętu.

★

Tymczasem... Tymczasem na progu stał, owszem, osobnik płci męskiej, ale to nie był Gucio. Był to pan wzrostu trochę więcej niż średniego, szczupły, elegancki, z lekko siwiejącymi skroniami i melancholijnymi oczyma. Jednak ten niewątpliwy urok jego postaci był dla Feli zupełnie niedostrzegalny.

— Pan do kogo? — mruknęła nieżyczliwie.

Pan zdziwił się, ale wybaczył brak obycia.

— Jestem Prandota — rzekł z godością.

— No, to co?

Pan zdziwił się jeszcze bardziej. Wykonał jakiś nieokreślony ruch rękami i posunął się krok naprzód.

— Czy to mieszkanie pani Celiny Łabędzkiej? — zapytał z mniejszą pewnością siebie.

— Pani Łabędzka jest chora i żadnych wizyt nie przyjmuje — powiedziała zimno Fela i energicznie chwyciła za klamkę, aby zamknąć drzwi przed nosem temu podejrzanemu wytworniśiowi. Ale ten ożywił się nagle.

— Ale tu jest mój syn! — krzyknął.

Błysk zrozumienia rozjaśnił skołowany umysł Feli. Ach tak?

— Ach tak? — powtórzyła głośno. — To pan? To pan jest tatuśkiem tego diabelca, który od rana pluje na mnie kaszą! Ślicznie się pan urządził! Dzieci porzucone po szosach, a pan sobie wojażuje nie zostawiając adresu! Cicho! Teraz ja mówię — krzyknęła, widząc, że przybysz usiłuje dobyć głosu — dziecko powierzył mi doktor Grabowski i tylko jemu je oddam! A teraz niech pan spływa — dodała z pogardą — bo mam dosyć roboty. I trzasnęła drzwiami tak mocno, że skromne budownictwo spółdzielcze zadrżało.

Dokończenie na str. 7